Cena 30 groszy. Opłata pocztowa uiszczona gotówką

ZACZYN

TYGODNIK

Nr. 29 (34). Warszawa, czwartek dnia 22 lipca 1937 r. Rok II.

IZOTERMY DEMOKRACJI

— Potęga słów związana jest z wyobrażeniem, które one wywołują i jest całkowicie niezależna od ich rzeczywistego znaczenia. Słowa, których sens jest najzupełniej nieokreślony, są czasami tymi, które posiadają największy wpływ. Do nich należą na przykład: demokracja, socjalizm, równość, wolność etc.

Znaczenie ich jest tak szerokie, iż grubych tomów nie wystarczyłoby do oznaczenia ich dokładnego sensu. A jednak pewnym jest, że magiczna jakaś siła przyczepiona jest do tych krótkich sylab, jakgdyby zawierały rozwiązanie wszystkich problemów. Syntetyzują one najróżnorodniejsze nieuświadomione aspiracje i nadzieje na ich realizację. Rozum i argumenty nie są w stanie zwalczyć pewnych słów i formuł.

Tak napisał kiedyś G. Le Bon, formułując powszechnie znany, ale powszechnie i wstydliwie przemilczany i zakonspirowany fakt, że daremnym trudem jest walczyć analizą i sensem, wynikającym ze słów, którymi szermuje się w życiu politycznym. Tu chodzi nie o treść lecz o symbol uczuciowy, o nadzieje, wkładane przez „*the men of the street*" (ludzi z ulicy) w te słowa jak do sanktuariów.

Są pewne słowa-tabu, słowa nietykalne, do nich zalicza się właśnie słówko: „demokracja".

Sam fakt zajmowania się nim wzbudza cichą nieufność: „czego on tam chce, czego szuka?"

Bowiem ludzie boją się wyniku, chcą aby „demokracja" pozostała tą demokracją, jaką znają. Demokracją na własny użytek.

Rozmaicie bywa. Czasem streszcza się ona w żądaniu nowych wyborów, innym razem — sprawiedliwych wyborów; w jednym miejscu z demokracją pokrywa się kampania za zniesieniem określonego podatku, w innym — kampania o wypowiedzenie wojny obcemu „imperializmowi, zagrażającemu światowej demokracji". Skłonni są ludzie widzieć demokrację w niektórych monarchiach i satrapię w niektórych demokracjach.

Więc — mówią — lepiej nie ustalać ani, co to jest ostatecznie ta demokracja, ani jakich warunków potrzebuje do życia. Nie wszyscy myślą tak dlatego, aby dłużej ryby łowić w mętnej wodzie; są i tacy, którzy boją się myśleć do końca z innych względów.

Mianowicie ze względów niejako religijnych, bo naruszanie tabu, jak wiemy — obraża uczucia charakteru kultowego. Ponieważ jednak poruszyliśmy już raz ten temat w artykule „Co to jest demokracja" („Zaczyn" nr. 25), pójdziemy dalej, stawiając kropkę nad „i".

Wniosek był jeden, na tak postawione pytanie: postawa demokratyczna narodu decyduje, czy ustrój jest demokratyczny, czy nim nie jest. Reszta jest formą, mniej lub więcej ważną — raczej jednak mniej — zmieniającą się w czasie i przestrzeni.

Istotą demokracji jest duch demokratyczny. Z nim ścierpieć można i króla i lordów, przywileje stanowe i własność prywatną. Bez niego nie wystarczy ani pięcioprzymiotnikowe głosowanie ani suwerenność panów posłów.

Cóż to jednak jest ta postawa demokratyczna, czego trzeba, aby wytworzyć w ludziach ten konieczny i podstawowy element?

Postawa demokratyczna jest przejawem wysokiej kultury. Człowiek głupi i nie wychowany będzie autokratą. W życiu prywatnym będzie bił żonę, tyranizował dzieci; w — publicznym — gardłował na wiecach o „więcej krwi", o „precz" i t. d.

Człowiek wykształcony i *uspołeczniony* będzie demokratą, choćby był samym Baldwinem, wodzem angielskiej konserwy.

Dużo trzebaby na ten temat pisać. Jakaż to radość byłaby, gdyby — jakimś cudem — zaczął ktoś na straszliwie nieurodzajnej i ubożuchnej niwie polskiej publicystyki pisać na ten temat. W zagadnieniu tym kryją się bezcenne bogactwa myśli politycznej: z równym powodzeniem wołającej o socjologa i psychologa, jak polityka lub filozofa. U nas jednak głucho: albo krótko i węzłowato wysyła się cały problem na śmietnik, albo jeszcze krócej krzyczy się „niech żyje".

Tak więc tematyka śpi snem sprawiedliwego, mimo wrzasku czynionego wokół demokracji.

W takich warunkach bogactwo tematu przytłacza, bo od czego zacząć? Trzeba się ograniczać, symplifikować do ostatnich granic. I tym razem wypadnie to zrobić.

Demokracja to udział społeczeństwa w rządach. Nie zgadzamy się z prof. Znamierowskim, określającym ją jako specyficzny dobór elity, jest ona raczej *przyzwoleniem* społeczeństwa, przyzwoleniem na wszystko: i na sposób dobierania elity i na rozwiązywanie poszczególnych zagadnień i na tysiąc innych spraw. Zagadnienia się zmieniają i zgoda ludu zmienia swe barwy.

Demokracja jest systemem dynamicznym, ciągle zmiennym. Popełnia stale błędy, lecz nie socjalizuje ich, nie stabilizuje.

Demokracja wreszcie to wybory lub coś w tym rodzaju.

A jakaż może być demokracja w krajach o ludności niedemokratycznej?

Coprawda każdy tłum, nawet najprymitywniejszy będzie żądał równości, ale równości dla siebie z wyłączeniem wszystkich

---

W sprawie dokonanego w dniu 18-go b. m. zamachu bombowego na płk. dypl. Adama Koca, szefa Obozu Zjednoczenia Narodowego, będziemy mogli zabrać głos dopiero po oficjalnym wyjaśnieniu okoliczności i tła tej niezwykłej zbrodni.

W poprzednim numerze „ZACZYNU"

---

innych, różniących się pozycją społeczną, zamożnością, religią, poglądami a chociażby tylko brodami.

Jakaż może być demokracja w państwie analfabetów? Dziś już zresztą nie idzie o analfabetów w pisaniu i czytaniu, lecz o znacznie więcej, bo o prymitywizm polityczny. Czy skomplikowane zagadnienia ekonomiczne ma rozstrzygać vox populi złożony z pojęć „ekonomistów" czasów handlu wymiennego?

Jakaż może być demokracja w państwie, którego obywatele wierzą w wyższość **swojej** rasy, **swojego** posłannictwa, **swojej** kultury i t. p.?

Nie! I w stosunku do demokracji musimy uznać istniejące dziś czynniki geograficzno-kulturalne.

Poruszana ostatnimi czasy „geografia polityczna" pasuje tu doskonale.

Znany jest wyraz w klimatologii — izotermy. Są to linie łączące miejscowości o jednakowej temperaturze przeciętnej. Wartoby ten wyraz przetransponować na język polityczny i wykreślić taką izotermę demokracji. Gdzie istnieje klimat duchowy, odpowiedni dla niej, a gdzie go trzeba dopiero wytworzyć?

Mielibyśmy zarazem linię, wykazującą, gdzie demokracje istnieją de facto. Jeśliby się okazało natomiast, że w pasie izotermy „demokracja", egzystuje jednak ustrój formalnie demokratyczny, to bez wahania możemy powiedzieć o istnieniu jeszcze jednej fikcji.

Fikcji zresztą niebezpiecznej. Bo demokrację najpierw się wychowuje a potem dopiero stosuje.

Gdybyśmy nawet nie zgadzali się całkowicie z wywodami K. Secrétan'a, to jednak w takim przypadku budowania demokracji na niskim kulturalnie podłożu, przyznać musimy mu rację: „I w tę demokratyczną nizinę stoczą się mniej lub więcej szybko wszystkie narody siłą własnej ciężkości..."

Bo jedno głupstwo pociąga za sobą drugie.

Problem wychowania do demokracji wybiega poza ramy tego artykułu. Teraz wartoby stanąć przed mapą i wykreślić sobie te izotermy, a gdy dojdziemy do miejsc, w których wyznaczone są granice Niemiec i Z. S. R. R., dobrze byłoby zatrzymać się dłużej. Bo warto. Dlaczego Niemcy, leżące w pasie izotermy „+ demokracja", odrzekły się jej; dlaczego Z. S. R. R., leżące w pasie „—demokracja", dają taki straszliwy w swych niekonsekwencjach obraz walki formy demokratycznej z treścią absolutystyczną? Może o tym innym razem.

POMRUKI WOJNY ŚWIATOWEJ

Europa od roku zajęta jest lokalizowaniem wojny w Hiszpanii. Jakaś sataniczna zabawa w wojnę uprawiana przez szereg państw, które ni to próbują swych sił i wynalazków wojennych, ni to czekają na lux ex Oriente, tym razem tego Dalekiego Wschodu aż na brzegach Oceanu Wielkiego, dla swych strasznych burz nazwanego Spokojnym.

Dziś walki w Hiszpanii mogą wydać się miniaturą w porównaniu z nawałnicą, która grozi lada chwila wybuchem na tych olbrzymich przestrzeniach, zwanych Chinami, gdyż aktorami tam są największe potęgi dzisiejszego świata politycznego.

Do czasu Wielkiej Wojny cały wielki świat polityczny koncentrował się w Europie względnie dokoła Oceanu Atlantyckiego, jeżeli uwzględnimy Stany Zjednoczone A. P.

Japonia coprawda była podziwiana, ceniona nawet bardzo wysoko, lecz nikt nie brał na serio możliwości przeniesienia centrum, czy pępka świata politycznego daleko, daleko od Europy.

Cała dotychczasowa historia tak była zafascynowana zbieraniem i rozpadami konglomeratów europejskich, walką doktryn (angielskiej morskiej czy kolonialnej z jednej strony i kontynentalno-europejskiej z drugiej), że przeoczyła możliwości zgoła innych układów politycznychześrodkowanych dokoła innych zagadnień i w innych częściach świata.

Spróbujmy wyjaśnić sobie tę odmienność zagadnień politycznych ważących się dziś nad Oceanem Wielkim od zagadnień historycznych europejskich, gdyż ułatwi to nam zrozumienie, że pomruki wojny z Dalekiego Wschodu mogą oznaczać początek ery historycznej, w której Europa ze swymi sprawami może być zepchnięta na margines głównej sceny dziejowej.

Wielka Wojna zakończyła się przy fanfarach paragrafów wilsonowskich, które oznajmiły światu wyzwolenie narodów i wytworzyły nastrój, jakże krótki zresztą, że walki o doktryny państwowe zostały już wykreślone z przyszłych dziejów świata.

Martwili się co prawda idealiści, że wyzwolenie nie objęło narodów kolonialnych, lecz pocieszali się, że teraz właśnie przyjdzie kolej na urządzanie ich losów.

Co prawda w samej uszczęśliwionej Europie okazało się, że nie sposób podzielić jej terytorialnie na kraje o jednej narodowości, dalej, że pozostały nadal nietknięte główne dotychczasowe ośrodki polityczne (z wyjątkiem skasowanej Austrii), ale szukano na to remedium w... Lidze Narodów.

Dawne, państwowe tendencje, zastąpiono nową nazwą — narodów pokrzywdzonych, które dochodziły swych praw, jak Italia, bądź dążyły do równouprawnienia, jak Niemcy.

Dawne dobre czasy ligowo-powojennego karnawału, czy zapustów, minęły.

Dziś nikt nie będzie już zastanawiał się, czy to naród włoski czy państwo zdobyło Abisynię, gdyż po prostu nazwie to starym słowem — imperializm.

Co do pokrzywdzenia Niemców — to już sami Niemcy chyba na serio nie myślą w tych kategoriach. Europa na nowo stanowi kłębowisko, gdzie wielcy walczą o hegemonię czy wpływy w średnich państwach i o protektoraty nad małymi.

Pobrzeże morza Śródziemnego, basen Dunaju, czy brzegi Bałtyku — są nieustającą wystawą eksponatów tych gier politycznych, pod różnymi nazwami wprowadzanych na awanscenę polityczną przy cichych lub głośnych pomrukach wojennych.

Złudzenia wolnych, beztroskich narodów, żyjących jak równe z równymi, prysły niczym bańki mydlane.

Wszędzie powstały troski państwowe, troski o ubezpieczenie niezależnego bytu.

Małe państwa szukają możnych protektorów, średnie — muszą ciągle pamiętać o żarłocznych rekinach.

Tak wygląda dziś Europa, narazie urządzając pokaz uzgodnienia braterskiego i poszanowania praw narodów... w Hiszpanii.

A teraz rozpatrzmy, co się dzieje na wielkiej, wprost olbrzymiej nawet w porównaniu z całą Europą, scenie, zwanej Oceanem Wielkim i jej proscenium — w Mandżurii i w Chinach Północnych.

U nas do dziś panuje nagminne przekonanie, że Chiny — to naród, że wyzwolenie Chin — to dążności narodowe w znaczeniu europejskim.

Warto zastanowić się nad tym, że różnice „plemienne" w Chinach odpowiadałyby w Europie mniej więcej różnicy między Francuzami a Niemcami, a różnice językowe można by przyrównać do różnicy między językami polskim a hiszpańskim, czyli, że wspólnym jest tylko alfabet, tam chiński, tu łaciński. Jeszcze coś nie coś się mówi o różnicy między południowymi a północnymi Chinami, a i to raczej przez pamięć walk między Nankinem a Pekinem. A tu naraz zgoda.

Zapomina się nawet, że to właśnie Chińczycy, a nie Japończycy w ostatnich latach masowo, dziesiątkami milionów, kolonizują Mandżurię i Mongolię, której mieszkańcy Mongołowie, ongi nieliczna warstwa rządząca w Chinach, dziś są spychani do roli nędznych autochtonów, niczym Indianie w Ameryce.

Chiny — to największe, ongiś najlepiej rządzone państwo w całym cywilizowanym świecie, państwo urządzone i zbiurokratyzowane, a które tylko uległo przemocy obcej, silniejszej cywilizacji europejskiej.

Dziś Chiny przekształcają się w inny ustrój, również państwowy, dostosowany do dzisiejszych wymogów cywilizacyjnych na całym globie ziemskim, gdyż dawne przegrody geopolityczne przestały istnieć, zniszczone przez rozwój wiedzy i techniki typu europejskiego.

Gdyby Chinom udało się w pełni zorganizować się, jako państwu współczesnemu, przybyłby do rodziny potentatów światowych partner, z którym musieliby się liczyć pozostali, ale który może sam zechciałby pograć, czy nawet dyrygować na koncercie wszechświatowym.

Japonia się śpieszy, żeby samej dorównać pozostałym kontrahentom, czy władcom na Oceanie Wielkim, a może to zrobić tylko kosztem Chin.

Inni, bynajmniej nie życzący sobie współczesnego państwa chińskiego, nara-

zie uczynią wszystko, by nie dopuścić Japonii do zbudowania największej potęgi na Dalekim Wschodzie przez podstawienie jej nóg w Chinach, w ostateczności ryzykując nawet wojną.

Gra jest nierówna pomimo wszystkich pozorów równowartości militarnej Japonii i innych partnerów.

Nierówność ta polega na tym, że Japonia bez Chin byłaby nadal pozbawiona surowców, dziś absolutnie niezbędnych do prowadzenia wojny na dłuższą metę.

Zaś Wielka Wojna wykazała dobitnie, że dzisiaj wojna będzie tym dłuższa, im okrutniejsza i im więcej pochłaniająca zasobów, sił i ludzi.

Przecież inni partnerzy na Oceanie Wielkim — to potentaci, zabezpieczeni we wszystkie prawie niezbędne surowce dla wojny współczesnej i imperialistycznej.

Anglia, Stany Zjednoczone i Rosja, to nie tylko olbrzymie rezerwuary ludzkie i techniczne, mogące żyć naprawdę autarkicznie, lecz nadomiar potęgi, którym nie można zabrać tyle i takich ziem, żeby ich supermocarstwowość została gruntownie zagrożona.

Nie mówiliśmy o Francji, choć i ta ma wiele do powiedzenia, względnie do stracenia w tych zapasach na Oceanie Wielkim, gdyż choć drugie co do posiadanych kolonii państwo na świecie, choć posiada ona większość surowców wojennych, nie należy do rodziny super-mocarzy.

Nie należy Francja dlatego, że jest zbyt narażona na przemoc ze strony Niemiec, a także dlatego, że nie posiada dziś żadnej doktryny imperialistyczno-światowej i ulega sugestii czy naciskowi państwa niemieckiego. Francja wciąż jest nastawiona na to, że centrum świata—to Europa, że rozgrywki na terenie europejskim mogą stanowić dla niej podstawę do grania roli wielkiego mocarstwa.

W ten sposób troski państwowe Francji ograniczają się prawie całkowicie do basenu śródziemno-morskiego i metropolii.

Powracając do areny wielkooceanicznej stwierdzamy, że trzej olbrzymi partnerzy, wzajemnie podejrzliwi i niechętni, w tej chwili są zajęci niedopuszczaniem Japonii do przekroczenia Rubikonu, za którym leży samowystarczalność surowcowa, a tym samym supramocarstwowość.

Gra polega na tym, żeby nie dopuścić jednocześnie, aby Chiny stały się tym czwartym, czy piątym partnerem-potentatem, ale przede wszystkim, aby w walce z Japonią zaangażował się najpierw któryś z pozostałych partnerów, względnie zacząć zapasy w spółce, czy sojuszu choćby z jednym z dwóch pozostałych partnerów tej trójki.

Stany Zjednoczone, Anglia i Rosja doskakują co chwila do kotła chińskiego i, parząc sobie ręce, dolewają oliwy do ognia bądź zapuszczają już nie łyżki, a wprost kubły, by zaczerpnąć jak najwięcej zupy dla siebie, zanim sąsiedzi wypróżnią ten kocioł. A kocioł wre, huczy, pryska dookoła warem, zaś Europa gra przy tym akompaniamencie swoje stare, zaplątane, intryganckie gry polityczne, nie mniej od tamtych niebezpieczne i krążące koło wojny.

A czy stąd czy stamtąd wojna dziś będzie światową w o wiele większym stylu i zasięgu, niż miniona Wielka Wojna, i boday że nie znajdzie się na kuli ziemskiej kącika, gdzie można będzie odczekać czy przeczekać dziejową burzę, patrząc na zapasy z boku i moralizując na temat jej zdrożności.

A że w dzisiejszych wojnach nie ma podziału na wojujących i niewinnych, spokojnych ludzi, czy nie lepiej psychicznie i materialnie być przygotowanym, aby z tych zapasów nie wyjść niewolnikami czy bezmyślnymi ofiarami gwałtu tych, co na zimno przygotowują się do walki, którą chcą narzucić innym, a przede wszystkim słabszym i nieprzygotowanym do niej?

(38).

Z POLITYKI MNIEJSZOŚCIOWEJ

Polska, która chce dla siebie wielkości, Polska, która chce być samodzielnie o sobie decydującą potęgą, — jest tym samym, automatycznie i nieodpornie, skazaną na posiadanie w swych granicach mniejszości etnicznych i problemu mniejszościowego. Pod tym względem nie zmieniło się nic w dziejowych koniecznościach Polski od czasów, gdy stanęło przed nią z jednej strony zagadnienie utrzymania unii z Litwą i terenów dla swej kulturalnej ekspansji na Wschód, a z drugiej hasło sobkostwa t. zw. piastowskiej polityki i ograniczania siebie do bezspornie polskich problemów.

Zagadnienie bowiem mniejszości w Polsce jest problemem wielkości i mocarstwowości Polski, a nie sprawą takich, czy innych domowych — handlowych, czy agrarnych — konkurencji, która też nie może być rozstrzygana pod kątem tych domowych zupełnie oczywistych czy naturalnych różnic.

Tymczasem jesteśmy w Polsce na każdym kroku i codziennie świadkami najazdu na opinię chorobliwej łatwizny, a raczej ciasnoty, czy prymitywizmu intelektualnego, — najazdu tych, którzy zagadnienie mniejszości w Polsce rozstrzygają pod kątem widzenia sklepiku lub szczególiku prowincjonalnego, w miejsce zasady odwrotnej przystępowania do oceny każdego podobnego szczegółu pod kątem widzenia nakazów naszej wielkości. *Przeważająca ciemnota, szerzona i kultywowana w Polsce przez łatwą, brukową prasę*, sprawia, że najważniejsze problemy Polski przyswajane są tysiącom czytelników za pomocą — opinii uczni czwartej klasy gimnazjalnej, wypowiadających się (w ankietach!!?) w sprawie organizacji armii polskiej! Łamie się wprost pióro z oburzenia, gdy chce się napiętnować tę orgię fałszerstwa i ciemnoty, jaka pod pokrywką rzekomo wzniosłych idei „narodowych" odbywa się na terenie informowania o polskich zagadnieniach mniejszościowych szerokich warstw czytających Polaków.

Nie dziwmy się więc, że nawet w rozmowach z ludźmi o wykształceniu uniwersyteckim i roszczących sobie pretensje do prawa normowania życia całej Polski, spotkamy się z takimi wiadomościami, jak uważanie wszystkich Ukraińców, czy „Rusinów", za prawosławnych, lub próby udowadniania, że Żydzi zalewają coraz bardziej nasze uniwersytety i całe życie narodowe. Tysiące, czy dziesiątki tysięcy inteligentów polskich wypowiada, a nawet czasem wypisywuje swoje poglądy na temat tego, jaką Polska powinna być, jaką politykę w najzawilszych sprawach należy prowadzić, nie mając nieraz w bezpośredniej swej ewidencji nawet takich wiadomości o Polsce współczesnej, jakie powinna przynosić szkoła powszechna. Wystarczy dla stwierdzenia tej najoczywistszej prawdy, posłuchać szeregu rozmów po kawiarniach, jak też przeczytać tę porcję bzdur, fałszów i nonsensów, drukowanych codziennie, nietylko w brukowej propagandzie, ale nieraz także w poczytnych polskich dziennikach. Nie dziw, że wobec tego 4-klasiści mają tupet pouczania „narodu" polskiego, po jakich drogach Polska iść powinna!

Tymczasem właśnie dlatego, że „granica fałszu, fabrykowanego w Polsce, jest niesłychana" (J. Piłsudski: Pisma, VIII, 331.) jesteśmy skazani na znajomość zagadnienia mniejszości, mamy obowiązek nauczenia się tych spraw, poznania ich najdokładniej w świetle rzeczywistych, a niesfałszowanych danych i zbadania każdej strony zagadnienia najpierw pod tym kątem widzenia, *jak jest i jak być może*, zanim się zaczniemy zastanawiać, *jak być powinno*. Oczywiście z naiwnością tych, którzy wszelkie krytyczne rozważania zastępują postulatem, aby Polska była 30kilkumilionowym mocarstwem o czysto rdzennej polskiej ludności, dyskutować nie będziemy. Nawet dziecko bowiem rozumie, że lepiej być milionerem bez długów, niż dobijającym się fortuny przedsiębiorcą, muszącym uciekać się do kredytu. Dlatego dyskusje, jak usunąć z

WYDAWNICTWA NADESŁANE

Instytut Gospodarstwa Społecznego: „Struktura społeczna wsi polskiej". Warszawa, 1937 r., str. 323 + 16 nlb. Wydano z zasiłku Funduszu Kultury Narodowej.

Maria J. Wielopolska: „Biskup Sapieha w zupełnej zgodzie z prawem i co z tego za wniosek?". Warszawa, 1937 r., str. 28. Nakładem autorki.

„Niepodległość", Warszawa, lipiec — sierpień 1937 r. Wydawnictwo Instytutu Józefa Piłsudskiego poświęconego badaniu najnowszej historii Polski. Zeszyt poświęcony Leonowi Wasilewskiemu.

„Sprawy Narodowościowe", dwumiesięcznik Nr. 1 — 2 z 1937 r., Warszawa.

„Gospodarka Narodowa", Warszawa Nr. 14 z 1937 r.

„Synarchista", głos Związku Synarchicznego, Warszawa, lipiec 1937 r.

„Oswalda Balcera przemówienia, wygłoszone w Towarzystwie Naukowym we Lwowie w latach 1921 — 1932". Wydał Przemysław Dąbkowski, Lwów, 1937. Nakładem Towarzystwa Naukowego we Lwowie, str. 116.

Tadeusz Teslar: „Polityka Rosji Sowieckiej podczas wojny z Polską". Warszawa, 1937 r., str. 262. Gebethner i Wolff.

„Droga", miesięcznik. Warszawa. Nr. 12 z 1936 r. i n-ry 1 do 6 z 1937 r.

Polski mniejszości, zachowując całą potęgę Państwa Polskiego i jego tak świeżo zdobyte mocarstwowe stanowisko, dobre są tylko dla tych, którzy raz przez głupotę, a raz przez cynizm zbierają łatwy poklask i poczytność za cenę zakłamywania rzeczywistości.

Faktem bowiem jest, że zagadnienie „mniejszości“ w sile 1/3 ludności w Polsce istnieje, *istnieć będzie*, oraz że od sposobu rozwiązywania tego zagadnienia zależy w olbrzymim procencie nasza siła państwowa, zarówno jako wewnętrzna spoistość, jak jako zewnętrzna zdolność obrony i walki. Dlatego też pierwszym momentem najwyższej wagi jest konieczność ustosunkowania się polskiej opinii do całego zagadnienia mniejszościowego w Polsce en bloc, czyli konieczność postawienia jednolitej zasady, ustalenie jednolitego stanowiska w stosunku do wszystkich mniejszości o najrozmaitszym typie i znaczeniu, jakie Państwo Polskie w swoich obecnych, oczywiście nienaruszalnych, granicach wykazuje.

Generalne, sumaryczne postawienie problemu mniejszościowego w Polsce, zostało dokonane nie przez stronę polską, ale przez stronę mniejszościową, a to z chwilą, gdy w roku 1922 doszedł do skutku wyborczy blok wszystkich ważniejszych mniejszości w Polsce, który poza kombinacją wyborczą był zrealizowaniem zasady i taktyki przeciwstawiania całości „mniejszości“ w Polsce narodowi polskiemu jako takiemu. *Wtenczas to powstał w najnowocześniejszej rzeczywistości dziejowej zasadniczy i podstawowy problem* dla polityki mniejszościowej w Polsce, a to jako niebezpieczeństwo uzgodnienia działań politycznych, a nie tylko spraw wyborczych wszystkich mniejszości w Polsce w formie jednolitego frontu antypolskiego. W takiej zaś konstelacji politycznej podobny front wyborczy i sejmowy przeciw narodowi polskiemu nabierał charakteru tendencji do rozsadzania wewnętrznej spoistości Państwa Polskiego.

Nie może być dla nikogo, choć nieco rozsądnie o Polsce myślącego, wątpliwe, że powstawanie, istnienie i działanie bloku mniejszościowego było, jest i będzie objawem w najwyższym stopniu niekorzystnym i niebezpiecznym dla Państwa Polskiego. Szaleństwem bowiem, zarówno w polityce wewnętrznej, jak zewnętrznej, jest świadome prowokowanie, czy tylko dopuszczanie do blokowania się wszystkich możliwych przeciwników w jednym, łącznym obozie, czy froncie wojennym. Tak jak w polityce zagranicznej pozostanie bezwzględnym błędem od wieków dla wszystkich państw prowadzenie takiej polityki, która łączy przeciw sobie w jednym froncie *wszystkich możliwych w danym świecie politycznym przeciwników*, tak samo nie może ulegać dyskusji, że błędem i grzechem jest w polityce wewnętrznej każda akcja, pchająca ku politycznemu zblokowaniu się wszystkich mniejszości w danym państwie. Są to pewne i tak oczywiste aksjomaty polityki wewnętrznej i zewnętrznej, że dłuższe rozwodzenie się nad uzasadnianiem tego stanowiska byłoby wyważaniem otwartych drzwi.

Ta jednak bezwzględnie i z gruntu *fatalna możliwość polskiego wewnętrznego życia politycznego jest niebezpieczeństwem pozytywnym*, skoro już raz taki fakt miał w Polsce miejsce. Naiwnością bowiem, a nie politykowaniem jest zarówno rozumowanie, że w przyszłych naszych dziejach narodowych dokona się coś, co nigdy w historii nie zaistniało, tak samo, jak odwrotnie bezpodstawnym byłoby twierdzenie, że dana konstelacja polityczna, która już raz miała miejsce, nie może powtórzyć się powraz drugi. W praktyce więc w odniesieniu do tego najbardziej zasadniczego, czy pierwszoplanowego problemu naszej polityki mniejszościowej, musimy przyjąć za podstawę wyjściową dla rozumowania politycznego zarówno fakt, że a) taki blok mniejszości w Polsce istniał, jak b) że z trudem i drogą akcji kilku lat blok ten został polityką Marszałka Piłsudskiego na tym odcinku spraw — rozbity.

Te dwa fakty muszą normować nasze rozumowanie w tej sprawie, a więc wysunąć na czoło całego rozważania zagadnienia mniejszościowego, jako zasadę empirycznie sprawdzoną, potrzebę działania w kierunku niedopuszczania do powtórzenia się układu z roku 1922.

Niewątpliwie Polska po śmierci Marszałka Piłsudskiego ma w odniesieniu do tego naczelnego problemu zadanie nieporównanie łatwiejsze, niż sytuacja, w jakiej znalazł się Marszałek Piłsudski po przewrocie majowym. Wtenczas blok mniejszości był faktem dokonanym i działającym, który uniemożliwiał zasadę normalnej walki parlamentarnej wewnątrz samych-że poglądów społeczeństwa polskiego, system zaś wyborczy wprost zalecał „mniejszościom“ podobne blokowanie się najpierw dla wyborów, a potem dla sukcesów sejmowych. Obecnie blok taki nie istnieje, co więcej — odrodzenie się takiego bloku stoi *przed nieporównanie większymi trudnościami*, aniżeli wówczas, a to nietylko ze względu na walory nowej konstytucji, ale także z powodu nieprzejednanego konfliktu żydowsko-niemieckiego, jak też ze względu na faktycznie dokonaną zmianę wzajemnych stosunków ukraińsko-żydowskich. Ta nieporównanie łatwiejsza nasza sytuacja dzisiejsza, niż przed laty kilkunastu, *nie zwalnia nas jednak od obowiązku liczenia się z możliwością powtórzenia się faktu*, który już raz miał miejsce, zagadnienie, które w sferę faktycznych możliwości weszło właśnie w ostatnich miesiącach, jako przedmiot debat prasy ukraińskiej i żydowskiej, a wtórnie prasy polskiej.

Zostawmy chwilowo na uboczu zagadnienie niemieckie, które zresztą bynajmniej nie jest tylko sprawą dwóch zachodnich województw Polski, gdyż ma swoje repercusje również w innych stronach Polski. Momentem bowiem, zasadniczym, jest sprawa stosunków żydowsko-ukraińskich, a to zarówno ze względu na siłę liczbową tych dwóch mniejszości, jak także ze względu na całkiem inne atuty etniczno-polityczne, jakimi rozporządza każda z tych mniejszości. Spojrzawszy bowiem prawdzie w oczy, musimy stwierdzić, że atuty te są niemal-że charakteru wymiennego, gdyż z jednej strony masa ukraińska jest reprezentowana przez ludność rolniczą, silną i twardą, ale bez wybitniejszych środków kapitałowych i warunków intelektualnego oddziaływania, a druga t. j. żydowska przez ludność miejską, o nieporównanie mniejszej sile i odporności, ale w zamian o niezaprzeczalnych środkach kapitałowych i o szczególnych zdolnościach intelektualnego oddziaływania zarówno wewnątrz, jak nazewnątrz Polski.

Podkreśliliśmy ten niejako wymienny charakter atutów, którymi dysponuje każda ze stron ewentualnego przyszłego zbliżenia się ukraińsko-żydowskiego, a to ze względu, że w tej wymienności tkwi zarówno zarodek istniejących różnic, jak powód do szukania wzajemnego zbliżenia się. Ukraińcy bowiem dążą obecnie z całą świadomością i intensywnością do wytworzenia dla siebie, swojej własnej, narodowej, ukraińskiej siły w miastach i handlu, a z drugiej strony na tle najnowszego zwrotu w rozumowaniu ogółu żydowskiego, zwrotu wywołanego ostatnią akcją polską, zjawiła się u Żydów tendencja do wzmacniania i rozbudowania swych zdolności zarówno do oporu, jak do osadzania się w obecnej Polsce. W rezultacie więc *stoimy wobec otwartej jeszcze możliwości*, bądź to koordynowania przez obydwie mniejszości swoich atutów, bądź to do rozbieżnej pracy w kierunku uzupełniania każdorazowych braków we własnym, narodowym zakresie, a więc tym samym w podtrzymywaniu wzajemnej konkurencji, wynikającej przede wszystkim z faktu ogromnie silnego pomieszania terytorialnego ludności żydowskiej i ukraińskiej. (113) (d. c. n.)

GOSPODARKA A PAŃSTWO*)

KTO MA PLANOWAĆ?

Planowanie gospodarcze nie koniecznie musi odbywać się — jeżeli weźmiemy światowy rozmiar tego zjawiska — pod egidą państwa. Procesy planowania znane oddawna krajom o wysokim stopniu zaawansowania w rozwoju gospodarczym, jakimi są na przykład Stany Zjednoczone, krajom liberalnym.

Układ Forda jest układem planowania i wszystkie niemal trusty, kartele, pionowe czy poziome, koncentracyjne systemy produkcji, powiązania kartelowe, opanowanie rynków zbytu — to wszystko są twory gospodarczo-planowe. Jest to ostatnie słowo techniki kapitalizmu. I trzeba przyznać, że tylko na podłożu tak pojętego kapitalizmu dały się w ostatnich dziesiątkach lat dokonać tak olbrzymie procesy w całym świecie. Chętnie z tej planowości korzysta i państwo, chociażby dla tego że to jest koncepcja teoretyczna ściślejsza, jako narzędzie państwowej polityki gospodarczej od socjalistycznej mgławicy gospodarczej.

Lecz tutaj musimy omówić rodzaj tego planowania. Planowanie to odbywa się na płaszczyźnie zysków grup kapitalistycznych. Więc tam, gdzie życie gospodarcze jest bujne, zdyskontowanie korzyści plano-

*) Patrz N-ry 27 i 28 „Zaczynu“.

wości przez częściowy udział w dochodach z planowania, mimo to daje państwu wystarczające owoce. Zmilitaryzowanie trustu jest o wiele łatwiejsze, niż tysiąca małych fabryczek.

Dla państw, w których kryterium państwowego interesu musi sięgać niemal do granicy wywłaszczania ze słusznych czy niesłusznych zysków, interes planowania kapitalistycznego jest minimalny. Więcej — nikt nie będzie planował, by każdorazowa interwencja państwa krzyżowała jego plany. W walce o poziom życia będzie usiłował przedsiębiorca obejść ustawy, zakazy i rozkazy i będzie prowadził gospodarkę pod kątem wyeksploatowania do końca dnia dzisiejszego. Powoduje to zasadnicze zniechęcenie do działalności inwestycyjnej.

Poza tym międzynarodowe powiązania gospodarcze [1]) narzucają układ planowy poza granice pojedyńczego państwa, układ ten może być zabarwiony samym interesem grupy finansowej, przemysłowej, a może być i bywa często ukształtowany przez zabarwienie polityczne interesu państwa, z którego następuje ekspansja.

Niebezpiecznym jest tkwienie państwa słabego w układzie gospodarczym międzynarodowym.

Planowość gospodarcza obcego układu jest nieprzystosowalna i nie liczy się z kryteriami:

1) suwerenności obronnej danego państwa,

2) czynnikiem społecznym, czyli ilością zatrudnienia i stosunkami pracy,

3) rozwojem czynników samowystarczalności w danym państwie, tego prymitywnego stopnia samowystarczalności, potrzebnej do harmonijnej rozbudowy całości gospodarczej.

Tkwienie danego państwa, słabszego gospodarczo, w orbicie cudzej planowości gospodarczej narzuca temu państwu skrępowanie gospodarcze w decyzjach czystej polityki zagranicznej.

Nawet argumenty dobrobytowe, tkwiące w planowości kapitalitycznej lub planowości obcych układów gospodarczych, nie są dla nas do przyjęcia.

Jeżelibyśmy się opierali na kryterium dobrobytu, to przecież nigdy nie doszlibyśmy do konieczności stworzenia niepodległego państwa polskiego. Bo przecież Polska w niewoli znajdowała się w położeniu dobrobytowym znacznie lepszym niż po odzyskaniu niepodległości.

Ziemie pod zaborem rosyjskim były obszarem uprzemysłowionym w kraju rolniczym, jakim była Rosja, ziemie pod zaborem niemieckim tworzyły doskonałe uzupełnienie rolnicze uprzemysłowionych Niemiec.

Nie jednemu z mieszkańców Łodzi czy też Sosnowca łezka w oczach nieraz się kręci, jak to było za ruska. Nie jeden z ziemian poznańskich żałuje, że minęły czasy przedwojennej wysokiej koniunktury rolnej.

Jednak naród, nie przewidujący naturalnie w masie takiego obrotu rzeczy, krwią swą na polach walk, zdecydował, czy ma mieć miskę soczewicy, czy wolne państwo, i to obowiązuje teraz, jutro i zawsze.

Obyśmy za miskę soczewicy nie przegrali w dążeniu do wzrostu dobrobytu na cudzych fluktach politycznych, na poddaniu się narzuconej planowości obcych układów gospodarczych.

Trzeba z tego wyciągnąć surowe konsekwencje pomocne w przezwyciężaniu trudności gospodarczych.

Że planowanie jest konieczne, o tym nikt teraz w Polsce nie wątpi, lecz każdy chce planować sam. Najwięcej apetytów ma naturalnie Lewiatan, zrzeszający grube finanse, przemysł i handel oraz mający całe sztaby „uczonych ekonomistów" w parlamencie, w uczelniach ekonomicznych, oraz moc wallenrodów mniej lub bardziej jawnych w administracji gospodarczej państwa. Apetyty w kierunku planowania mają i niektóre resorty administracji gospodarczej państwa, ale jakoś nie udaje się im ta planowość bez poparcia Lewiatana. One by chciały stworzyć malutki plan, dokoła którego owinąłby się plan Lewiatana, lecz Lewiatan nie chce angażować się, boi się, co z tego wypadnie... czy nie zostanie zdradzony.

Postarajmy się w tym szkicu przedstawić, że właściwie w Polsce wszystkie troski gospodarcze prowadzą prostą drogą do konieczności planowania państwowego.

Bowiem nasz organizm gospodarczy znajduje się w stanie takiej dekompozycji wskutek wieloletniej polityki grubszych sfer przemysłowo-handlowych, iż niesposób nawet znaleźć w nim jakiejś moralnej całości, nawet brak jemu solidarności „klasowej".

Zajmiemy się więc w tym szkicu zagadnieniem planowania i kryteriami planowości oraz kuplerstwem gospodarczym naszego grubego przemysłu i handlu, by odrzucić a limine myśl, że wolno tym sferom powierzać w dalszym ciągu na kredyt — jak to kiedyś uczynił Marszałek Józef Piłsudski — prymat w konstruowaniu myśli gospodarczej i realizowaniu gospodarczej polityki przy uwzględnieniu interesów państwa.

O potrzebach państwowej planowości gospodarczej mówimy z kilku względów:

zbyt mały jest u nas dopuszczalny margines, na którym życie gospodarcze nie styka się lub nie tkwi w całości w problemach obronnych, a więc linię gospodarczą determinują postulaty państwowe;

nasze sfery gospodarcze, biorąc je jako myśl gospodarczą i system polityczny, nie nadają się moralnie, z własnej czy cudzej winy, na planistów gospodarki, podporządkowanej kryteriom obronnym;

silne dotychczas związanie naszego życia gospodarczego z gospodarką międzynarodową wymaga rozstrzygania wielu zagadnień na płaszczyźnie akcji czysto państwowej, czego nie może uczynić żadna reprezentacja prywatnego życia gospodarczego i społecznej myśli gospodarczej;

przebudowa struktury gospodarczej kraju od strony ludzkiej oraz planowanie prac, nierozwiązalnych w układzie prywatno-kapitalistycznym, przerasta możność traktowania ich na płaszczyźnie pozaplanowej i pozapaństwowej;

kolizje klas gospodarczych i warstw społecznych, które mogą powstać w wyniku przebudowy gospodarczo-społecznej, nie mogą mieć innego źródła rozjemstwa, jak tylko państwowe;

skala prac, które stoją przed Polską, przy alternatywie być albo nie być, nie mieści się w ramach żadnych prywatno-gospodarczych kryteriów, psychologii i motywacyj;

zmienność planu państwowego i stała twórczość na obranej linii wymaga ochrony jednostek gospodarujących przed wszelakimi zaskoczeniami, których uniknąć — wobec tajności planu państwowego — da się tylko na drodze bardzo ściśle sprecyzowanych rozkazów państwowych;

prywacje jednostek i grup społecznych nie są do pomyślenia na żadnym tle polityki poszczególnych grup gospodarczych, lecz mogą być jedynie do przyjęcia przez szeroki ogół społeczny na tle państwowych konieczności;

paraliżowanie i tępienie dywersji gospodarczej zagranicznej i wewnętrznej wymaga tak rozlicznych i tak silnych środków politycznych, że nie sposób pozostawiać je do dyskrecji grup społecznych.

Planowość państwowa może zupełnie zbulwersować wszystkie istniejące stosunki i wymiary gospodarcze. Tylko w ramach planowości i kalkulacji państwowej możemy dokonać przewarstwień struktury społecznej i gospodacrzej.

Oto jeden z blasków wizji.

Ustalono, że bez potrzeby dokonywania gigantycznych inwestycji przemysłowych sama elektryfikacja pozwala na tak dowolną dekoncentrację przemysłu, że może drobnemu przemysłowi, rzemiosłu i chałupnictwu powierzyć olbrzymi procent elementów pracy przemysłowej. Nie potrzeba chyba mówić tu o znaczeniu militarnym tego zagadnienia przy dzisiejszej technice ataków lotniczych i roztworzystości naszych granic. Nie potrzeba również mówić o wyniku społecznym, gdyż odpadają olbrzymie koszty inwestycyjne skoncentrowanych fabryk, urbanizacji, a cały niemal koszt produkcji wsiąka jako wypłacona robocizna w cykl konsumcji.

Istnienie w Polsce t. zw. stanu średniego i jego rewolucyjnie szybkie dojrzewanie (bo Europa rozwijała go w ciągu kilku wieków) uwarunkowane jest związaniem tych rozbitków koncentracji gospodarczej z państwem, już nie w celach samej sprawiedliwej protekcji przed grubym przemysłem i handlem, lecz w celu przyciągnięcia go w orbitę planowych działań gospodarczych państwa, bez których skazany on jest na zagładę. To fragment przykładowy wizji.

To nie program, lecz — powtarzamy — zygzak wizji możliwej w układzie państwowej myśli gospodarczej.

Lecz kategoriami elektryfikacji, motoryzacji, może myśleć tylko państwo. I tylko ono może sprzęgnąć milionowe masy nieprodukcyjnych, półprodukcyjnych i bezrobotnych obywateli z pracą produkcyjną i funkcjami.

Lecz to są zagadnienia o długoterminowej kalkulacji, o kalkulacji zawierającej

---

[1]) Na dz. 31 grudnia 1936 r. mieliśmy 266 porozumień kartelowych, biorąc równocześnie udział w 106 porozumieniach kartelowych międzynarodowych. Trzeba również zaznaczyć, że liczba porozumień międzynarodowych, w których uczestniczą przedsiębiorstwa polskie, stale wzrasta. Dla przykładu notujemy: r. 1918 — 3, r. 1925 — 8, r. 1930 — 69, r. 1933 — 94, r. 1936 — 106 („Wiadomości Statystyczne" zeszyt 16 z 1937 r.). Patrz również cyfry; podane w N-rze 7 „Zaczynu", art. „Kapitał zagraniczny" o udziale finansjery i przemysłu zagranicznego w naszych spółkach akcyjnych.

zbyt wiele elementów militarnych i doktrynalno-państwowych, by człowiek interesu lub reprezentacja jego myśli mogła tworzyć a nawet krytykować podobną koncepcję.

Trzeba oddzielić i odizolować elementy polityczne i ogólno-państwowe z kupieckiej kalkulacji prywatnego organizmu gospodarczego.

Przemysł prywatny może wykonywać tylko ściśle gospodarczo wykalkulowane elementy całości gospodarczej, winien być buchalterem, kalkulatorem, a nie bohaterem. Takie bohaterstwo za dużo kosztuje.

Z drugiej jednak strony bezsilność państwa w dziedzinie gospodarczej nie może służyć do pobudzania walk klasowych.

Z przemysłowca robi się krwiopijcę i diabła, apeluje się do tłumu w celu taktycznych rozgrywek. Przez taktykę „antykrwiopijczą" chcą u nas wychowywać przemysłowców na bohaterów, a nam akurat potrzeba raczej buchalterów, nie bohaterów.

Tak dalece rozeszła się ta psychoza, że niedawno Ministerstwo Skarbu wyjaśniło, iż nic nie ma przeciwko wzrostowi dochodów przedsiębiorstw, to nie będzie uważane za grzech...

Ostatecznie wielce niesprawiedliwym byłoby traktowanie całego przemysłu w Polsce, jako aferzystów i krwiopijców. Coś à la pewien kozak, którego gdy zapytano, co by zrobił, gdyby został carem, odrzekł: „ukradłbym sto rubli i uciekł".

Coś innego nastraja w Polsce społeczeństwo na nutę wrogą w stosunku do sfer gospodarczych.

Jest to kuplerstwo polityczne górnych sfer gospodarczych, dezorganizujące gospodarkę i demoralizujące opinię.

GOSPODARKA A KUPLERSTWO

Stwierdzono niezbicie, że państwa publikujące budżety państwowe i mające ścisłą kontrolę społeczną przez ciała ustawodawcze — nie mogące więc czerpać środków na rozległe akcje polityczne — chętnie posługują się funduszami pozabudżetowymi, wydobywanymi tą czy inną presją z życia gospodarczego.

Nie dzieje się to darmo. Za to się grubo płaci. Daje się za to dostawy państwowe, immunitety podatkowe, monopole faktyczne, koncesje, przywileje do walki z konkurencją — dezorganizując pozostałe części organizacji gospodarczej, nie objętej polityczną kartelizacją czyli kuplerstwem. Uzyskanie każdego grosza pozabudżetowego może kosztować państwo bardzo drogo, bo wyrzeczenia się złotówek budżetowych.

Oto jak płaci się za „apolityczność" państwa.

Z tym jest, jak z łapówkami. Urzędnik bierze łapówkę 10—20%, a Skarb ma stratę 100%.

Prócz posługiwania się „funduszami specjalnymi" różnych firm i zrzeszeń gospodarczych na porządku dziennym jest przyjmowanie do przemysłu na słone „etaty" różnych niefachowych, bezprodukcyjnych osób, które zajmują się kuplerstwem, czyli załatwiają inkaso specjalnych funduszów oraz interweniują. Oni są „weselnymi generałami", znanymi naszym czytelnikom z art. „Ludzie—fotele" (Nr. 17 „Zaczynu").

W naszych rozważaniach trzeba było zwrócić i na to uwagę, bowiem kuplerstwo gospodarcze ma u nas szerokie pole działania, zataczając coraz szersze kręgi i paraliżując normalny przebieg gospodarczych procesów. Kuplerstwo bowiem stwarza pancerz, przez który nie działa już polityka gospodarcza państwa. Co raz spotyka się z immunitetami osób i firm, które otrzymały żelazne glejty wolnej ręki i ochronę.

Wystarczy zapytać na Śląsku, ile dały rozmaite firmy ogłoszeń do pism „ideologicznych", bitych w nakładzie 100 egz. a składających się z samych ogłoszeń, ile w ten sposób alimentowano organizacji politycznych i jakiego autoramentu. Co to był za szantaż! O tym można by wydawać dzienniki objętości „Times"a.

Oto symbioza fikcji, bohaterstwa z kuplerstwem są nieodłącznymi składnikami naszej atmosfery gospodarczej, nie tylko zacierają one obraz rzeczywistości gospodarczej, lecz uniemożliwiają nawet jako takie stosowanie pożytecznej interwencji gospodarczej państwa, cóż dopiero mówić o planowości państwowej.

W tych warunkach państwo okrzyczane za interwencjonizm i etatyzm zamienia się faktycznie w dyktatora, nie od dyktatury, lecz ...od dyktanda.

Pisaliśmy w poprzednim numerze, że główny ciężar w naszej teoretyczności ekonomicznej położony został na opis, rejestrację, oraz historię rozwoju gospodarczego, jakgdyby na tym tle można było stworzyć jakieś wydajne teorie użytkowe dla dźwignięcia gospodarki.

Rejestracja ocenia wszystko a posteriori, jest swego rodzaju protokułem policyjnym, spisanym po znalezieniu zwłok. Zasypani jesteśmy w naszych publikacjach statystycznych i omówieniach naszej gospodarki takimi policyjnymi protokułami i klepsydrami.

Z tych klepsydr i protokułów ekonomicznych, napuszonych jakże często barokiem soczystej „naukowej" frazeologii, nic nie wynika: ani jedna fabryka, ani likwidacja jednego miliona bezrobotnych.

Rejestracja składa wszystkie wyniki opisów i wyliczeń statystycznych do lamusa i nie wyciąga się z nich żadnych konsekwencji. Chyba jakiś miłośnik spekulacyj ekonomicznych — a w Polsce mamy ich więcej, niż buchalterów — zechce dla próżności „naukowej" zacytować to i owo, pisząc jedną więcej ocenę rzeczywistości.

U nas w dziedzinie gospodarczej nikt niczego się nie uczy.

My stoimy na innym stanowisku.

Uważamy, że każda analiza naszej rzeczywistości, sumowanie prób zmiany na lepsze, nieudane wzloty ludzi dobrej woli, rozczarowania i dalsze uczciwe poszukiwania kamienia filozoficznego dźwignięcia naszej gospodarki, rozbijają się nie o determinizm odwiecznych i powszechnych praw ekonomicznych, przeciwko którym nie wolno grzeszyć brakiem „klasyczności" w polityce gospodarczej, — lecz przede wszystkim o determinizm natury moralnej i politycznej. Jest dalszym ciągiem politycznej dekompozycji i najważniejszym jej fragmentem.

Uważamy, że w Polsce oddawna już pękły normalne podstawy pracy gospodarczej i organizm gospodarczy został zdezorganizowany. Nie tylko, jak skarżą się rzecznicy rolnictwa, wieś została przegłosowana przez miasto, czyli handel i przemysł, lecz handel i przemysł wogóle zostały przegłosowane przez uprzywilejowane zrzeszenia wielkiego handlu i przemysłu. Cóż dopiero mówić o rzemiośle i chałupnictwie.

Stoimy na stanowisku, że wszystkie jakościowe i ilościowe zależności zjawisk gospodarczych, zarówno zarejestrowane u nas jak i na całym pionierskim świecie, winny być skoncentrowane dla dokonania rychłych a wnikliwych studiów nad granicami naszego prawdziwego determinizmu gospodarczego, z którego naprawdę nie ma wyjścia, by ustalić te przymusowe ramy, którymi winniśmy ograniczyć się w śmiałych koncepcyjnych pracach planistycznych.

Ale to muszą być granice prawdziwie zdeterminowane niepokonalnymi trudnościami. Należy wiedzieć, gdzie kończy się determinizm natury i bogactw naturalnych, surowców, niezbędnych stosunków zagranicznych, potrzeb biologicznych człowieka i jego wytrzymałości na prywacje gospodarcze, a gdzie tkwi zbrodniczy determinizm nieróbstwa, marazmu, głupoty, nieuctwa, dezorganizacji, kuplerstwa, łapownictwa, syfilisu ręki, dywersji gospodarczej wewnętrznej i zewnętrznej, nieodpowiedzialności, frazesu, zdzierstwa, szantażu i humbugu oraz innych antypaństwowych determinizmów, panujących w naszym życiu gospodarczym, gnieżdżących się nie z gospodarczo uzasadnionych powodów, lecz z powodów ogólnej dekompozycji politycznej, rozprzężenia naszego bytu państwowego i braku wychowania politycznego.

Naturalnie, planowania tak ukonstytuowanym i zdemoralizowanym sferom gospodarczym powierzać nie wolno — w dodatku zagadnień gospodarczych par excellence obronnych.

Dopiero wielki zryw i wstrząs polityczny może wywołać heraklesowy czyn oczyszczenia tej stajni Augiasza.

Państwo polskie w okresie wielkiego zrywu politycznego pod znakiem wyłącznie konieczności państwowych, państwowego prymatu i państwowej moralności potarga wszystkie nici kuplerstwa w gospodarce, by ujrzeć rzecz samą w sobie, wypali gorącym żelazem wszelkie brudne aspiracje, zniszczy wszelkie asekuracje sfer gospodarczych i osadzi je na płaszczyźnie czysto gospodarczej.

Bowiem kuplerstwo i cały kompleks, który ono wytwarza, mimo że obejmuje tylko część przemysłu i handlu, jego górę, niszczy całość spraw gospodarczych, paraliżując i życie gospodarcze i sprawy państwowe. Kuplerstwo jest zagadnieniem politycznym, nie gospodarczym i winno być politycznymi środkami, a nie polityką ekonomiczną, tępione.

Wtedy dopiero wolno będzie mówić o gospodarce, jako pewnej harmonijnej całości i o różnych jej naturalnych imponderabiliach, jak rentowność, zysk, słuszna cena, inwestycje, kredyty etc. (77). (D. c. n.)

PO TAMTEJ STRONIE

Do najbardziej jaskrawych przejawów braku wychowania politycznego naszego narodu należy między innymi powszechna nieznajomość zagadnienia ukraińskiego.

Źródłem naszej wiedzy o naszych współobywatelach Ukraińcach jest przeważnie prasa partyjna lub sensacyjno-brukowa. Karmimy się tymi sensacjami ukraińskimi, jak chlebem codziennym, nie troszcząc się wiele o to, by poznać istotę samej sprawy, — przede wszystkim u samego źródła, które to zagadnienie tworzy, — by wyrobić sobie na ten problem zdecydowane własne zdanie polskich państwowców.

Wiele w tym kierunku mamy do zrobienia. Naczelną zasadę już wskazał „Zaczyn" (Patrz Nr. 26).

Obecnie przystępujemy do bardziej szczegółowego wyświetlenia tego zagadnienia, stosując metodę bezpośrednich studiów przedmiotu. Zatem przede wszystkim pragniemy dociec, jak się przedstawia narodowa myśl Ukraińców w odniesieniu do Polski i polskiej myśli państwowej. Dopiero tą drogą będziemy mogli stwierdzić, czy i o ile ukraińska racja narodowa da się pogodzić z racją państwową Rzeczypospolitej Polskiej, a co za tym idzie, czy istotnie narodowa grupa ukraińska w Polsce da się podporządkować doktrynie państwowej Państwa Polskiego i jego planowi państwowemu, oraz w jaki sposób program w tej sprawie ma być stworzony.

Tym oto krótkim wstępem rozpoczynamy nowy dział w „Zaczynie" pod ogólnym tytułem „Po tamtej stronie", gdyż „strona" ta — życie i aspiracje ukraińskie — są dla nas „terra incognita", tak, jakgdyby to było gdzieś w dalekim kraju, po tamtej stronie świata. Mieścić będzie ten dział przegląd głównych wydarzeń z terenu życia ukraińskiego oraz zazębiania się ich o życie państwa. Przytem nie będzie to zwykle praktykowany i mechanicznie robiony przy pomocy nożyc dziennikarskich „przegląd prasy", nieudolną i często bez znajomości przedmiotu zbieraniną wiadomości oderwanych. Przeciwnie: z wiru życia ukraińskiego oraz z twórczości myśli ukraińskiej będziemy czerpać rzeczy nieprzemijające, trwałe, sięgające do fundamentów samego problematu, jak również wyżyn wizji rozwojowej. Z tej samej pracy winien z czasem wytworzyć się cały kompleks myślenia państwowo-twórczego w obranym kierunku. W słuszny też moment przyjdzie czas i na wnioski programowe.

Jak już podawaliśmy w artykule „Zasada naczelna" („Zaczyn" Nr. 26), „kometa" narodowościowa na naszym firmamencie politycznym ukazuje się zbyt często i aż nazbyt widoczną znaczy drogę anarchii.

Ukraińska barwa w tej komecie nigdy się nie zaciera, a widoczna jest dla niewprawionego oka nawet bez teleskopu. Ostatnio znowu zabłysła swym złowieszczym światłem.

Oto z łamów najbardziej autorytatywnego organu ukraińskiego „Diło", wychodzącego we Lwowie już 58 lat, rozległy się głosy pod adresem Żydów z propozycją stworzenia bloku „obronnego" przeciwko atakom większości polskiej. Inaczej mówiąc, zabrzmiał apel do wznowienia ucichłej dotychczas wojny narodowościowej w Polsce.

Mobilizacja endecka, skierowana przeciwko Żydom i „Rusinom", odbiła się głośnym echem i pociąga już za sobą skutki: działanie endecko-„narodowe" wywołało odruch przeciwdziałania. Po piętnastu latach wracamy więc z hałasem do stosunków z 1922 r., kiedy to również naskutek mobilizacji Chieno-Piasta pod wodzą Żyda Gruenbauma i Niemca Neumanna utworzył się znany wyborczy blok mniejszości narodowych w Polsce — znana 16-ka wyborcza, o wybitnie antypolskim (w znaczeniu państwowym) nastawieniu.

Wkrótce potem blok ten wystąpił w zwartym szyku bojowym na terenie międzynarodowym, zarówno w Lidze Narodów, jak i w swej stałej reprezentacji — Kongresach Mniejszości Narodowych, odbywanych w Genewie.

Trzeba było użyć dużo mozolnej pracy, aby ciosy tego bloku osłabić, osłaniając państwo polskie. Dopiero przewrót majowy i stopniowe usuwanie wpływów endecji a ponadto zmiana polityki mniejszościowej rozluźniły przymierze zblokowanych mniejszości. Blok z czasem się rozpadł pomimo, że formalnie dawał się on we znaki jeszcze przy wyborach z 1928 r., bez wpływów już zresztą na masy wyborcze i bez impetu u jego przywódców.

Obecnie znowu wyłania się jego idea, odżywa w głowach mniejszościowców. Z tą jednak zmianą, że inicjatywa zawarcia bloku na ten raz wychodzi już od Ukraińców. Nie kryją się z tym. Czynią propozycję publicznie, podczas gdy żydowski partner — przestraszony Przytykami, Brześciem i Częstochową — jest nazewnątrz wstrzemięźliwy, woli sposoby „obronne" bardziej ukryte — interwencję zagraniczną... Ma ten partner zresztą własne porachunki z ekspulsywnymi Ukraińcami.

Oferta ukraińska pod adresem Żydów zrobiła w społeczeństwie polskim duże wrażenie. W odpowiedzi na to w wymienionym „Dile" (Nr. 149 z dnia 10 b. m.) ukazał się oficjalny komunikat U.N.D.O., największego stronnictwa ukraińsko-halickiego, zaprzeczający pogłosce w sprawie wspólnej taktyki obronnej oraz w sprawie „utworzenia jakiegoś bloku ukraińsko-żydowskiego.":

„Prezydium U. N. D. O. oraz Ukraińskiej Reprezentacji Parlamentarnej kategorycznie zaprzecza te wiadomości i stwierdza, że odpowiedzialne czyniki U. N. D. O. żadnych pertraktacyj na temat ukraińsko-żydowskiej współpracy nie prowadziły i nie prowadzą".

Artykuły w prasie ukraińskiej na temat sytuacji Żydów w Polsce, w których mieściły się oferty współpracy ukraińsko-żydowskiej, komunikat cytowany odnosi: „wyłącznie na rachunek autorów tych artykułów".

Czy wobec tego sprawa jest wyczerpana?

Czy wobec faktycznego bloku żydowsko-ukraińskiego zostało rozwiane? Bynajmniej! Można się zgodzić z tym, że oficjalnie nie ma bloku ukraińsko-żydowskiego. Można też uwierzyć, że „odpowiedzialne czynniki U. N. D. O." nie prowadziły i nie prowadzą pertraktacyj z takimiż „odpowiedzialnymi" czynnikami żydowskimi.

Nie wielka jednak z tego pociecha, jeśli zważymy, że w obecnych nurtach ukraińskiego życia zbiorowego „odpowiedzialne czynniki U. N. D. O." nie biorą zbyt wielkiego udziału. Los i bieg tych nurtów wyznaczył im rolę li tylko czysto reprezentacyjną. Układ życia biegnie przeważnie bez ich wpływu. Znane są bowiem zjawiska inne, wielomówne.

Faktem bowiem jest, że naprężone do niedawna stosunki ukraińsko-żydowskie uległy ostatnio dużym przeobrażeniom. Ustały niemal całkowicie zatargi ukraińsko-żydowskie na tle gospodarczym, ustępując miejsca faktycznej współpracy w tej dziedzinie obu powaśnionych stron.

Ukraińska prasa nacjonalistyczna zaniechała ostrej kampanii antysemickiej, przyjmując nawet do druku ogłoszenia firm żydowskich, czego przed tym nie robiła z przyczyn „zasadniczych". Z drugiej strony spółdzielczość ukraińska przestała być solą w oczach żydowskich, znajdując u Żydów uznanie kupieckie. Prasa żydowska zaprzestała swych ataków na Ukraińców, pilnie i poważnie śledząc za rozwojem życia ukraińskiego.

Zatem dawny jedynie formalny i doraźny blok żydowsko-ukraiński, dzieło przywódców politycznych, w dobie obecnej przekształca się we współpracę realną i trwałą, idąc od dołu.

Twórcami obecnie wynurzającej się współpracy żydowsko-ukraińskiej, współpracy wyrastającej ze wspólnej platformy „uciśnionych mniejszości", są— horribile dictu — ideologowie naszej rodzimej antysemickiej i antyruteńskiej endecji. To ona swoimi podrygami stwarza grunt i natchnienie dla bloku mniejszości narodowych. Ona je cementuje z dołu.

„Miarodajne czynniki" obu stron (U. N. D. O. i przywódcy żydowscy) w odpowiednim momencie nie złożą na jej cześć nawet komunikatu dziękczynnego. Będą zacierały tylko ręce z zadowolenia za okazaną pomoc.

Z tego należy sobie do końca zdawać sprawę.

Problemat żydowski posiada zupełnie swoisty charakter. Łączenie jego w Polsce z problematem ukraińskim jest grubym nieporozumieniem. Czym dla Polski jest problem ukraiński, wie chyba każdy, kto czytał ostatnią książkę generała Tadeusza Kutrzeby. Czym jest ten problem, może scharakteryzować to chociażby ostatnio odbyty we Lwowie Zjazd „Łuhów".

Oto dnia 4 b. m. około 4.000 członków i członkiń „Łuhu" przedefilowało ulicami Lwowa, śpiesząc na swój doroczny zlot. Popisy członków tego gimnastyczno-sportowego stowarzyszenia, odbyte z całą paradą wobec tłumów publiczności, przedstawicieli Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego i Przysposobienia Wojskowego oraz naczelnych organizacyj ukraińskich, wykazały dużą sprawność organizacyjną. A o celach wychowawczych tej organizacji przywódca „Łuhów", b. pułkownik armii ukraińskiej i dawny członek „Siczy", dr Roman Daszkiewicz powiedział tak:

„Chociaż „Łuh" jest towarzystwem gimnastyczno-sportowym, to cel jego jest znacznie wyższy. Mianowicie: stworzenie podstaw Armii Ukraińskiej, która w słuszny czas, po rozwale moskiewskiego bolszewizmu, musi zabrać się do tworzenia państwowości ukraińskiej" (cytujemy za tygodnikiem „Narodnia Sprawa" z dn. 18 b. m.).

Przywódca „Łuhów" stwierdził przy tym, że: „Łuhy" stale rosną, a to jest dowodem, że ich idea jest żywotną i wielką".

Każdy zgodzi się z tym, że chociaż głośny Żabotyński, przywódca żydowskiego wojskowego Trumppeldoru, zażywa większej popularności w świecie, bo głośno o nim zawsze, to jednak przywódca ukraińskich „łuhowników" dr Roman Daszkiewicz, uczestnik ukraińskich walk o niepodległość, cieszący się ponadto opinią w swym społeczeństwie człowieka do reszty odanego swej idei, nieskazitelnego i bezpartyjnego, nieznany w szerokim świecie, a prawie zupełnie w Polsce, ma więcej od Żabotyńskiego szans odegrania roli historycznej, właśnie „w słuszny czas".

Przykład historyczny „Siczy" ukraińskich i siczowników z okresu wojny światowej nie nastręcza tu żadnej wątpliwości.

Czy nie sięgamy w tym dotknięciu problematu siły mocarstwowej państwa naszego w całej jego rozciągłości? Gdzie też wyczytaliśmy jakąkolwiek rzeczową i w istotę sprawy sięgającą chociażby wzmiankę o podanym wydarzeniu? Karmimy się sensacjami kurierkowymi.

A oto rzut w innym zgoła kierunku. „Diło" z dn. 15 b. m. (artykuł wstępny p. t. „Ochrona mniejszości narodowych") podaje wiadomość o odbywającym się w Londynie Kongresie Mniejszości Narodowych. Ze strony Ukraińców polskich biorą udział w tym Kongresie prezes U. N. D. O. i Ukraińskiej Reprezentacji Parlamentarnej, wicemarszałek Sejmu W. Mudryj i poseł Z. Pełeński. Ten ostatni wchodzi do prezydium Kongresu.

Rumuńskich Ukraińców zastępuje członek parlamentu rumuńskiego dr W. Załozecki. Dotąd Kongres ten zbierał się przeważnie w Genewie, w siedzibie Ligi Narodów, z wyraźną tendencją wpływania na tę instytucję w pożądanym kierunku. Wybór miejsca tegorocznego Zjazdu również obrano z pewną tendencją. W Kongresach mniejszościowych kiedyś Niemcy dzieliły swoje decydujące wpływy z Żydami, obecnie są tam jedyną sprężyną.

Dr St. Baran, wybitny poseł U. N. D. O., w ten oto sposób charakteryzuje w „Dile" znaczenie Kongresów mniejszościowych:

„Okazje tych corocznych kongresów wykorzystywali nasi przedstawiciele nie tylko dla przedstawienia naszej sytuacji i naszych dążeń w Polsce ale i do wyświetlenia problematu ukraińskiego w całości, jako jednego z najważniejszych problemów europejskich, co odbiega daleko, daleko poza zwykłą kwestię narodowo-mniejszościową i co może znaleźć swoje rozwiązanie w przebudowie Wschodu Europy".

Myśmy tu sądzili, że po znanym oświadczeniu min. Becka, wypowiadającego traktat o mniejszościach narodowych, z wtrącaniem się obcych czynników do spraw wewnętrznych będzie koniec. Tymczasem w mentalności ukraińskiej krok ten nie ułożył się. Oto co pisze na ten temat poseł dr Baran:

„Polscy przedstawiciele (również i czechosłowaccy) przy Lidze Narodów twierdzą, że sprawa mniejszości narodowych jest ich sprawą wewnętrzną i że należy skasować albo ograniczyć międzynarodową ochronę tych miejszości, albo

rozszerzyć ją na wszystkie państwa. Kongres zorganizowanych mniejszości narodowych Europy, odbywający się w Londynie, ważny jest dla nas dlatego, że w tym światowym mieście odbywa się on po raz pierwszy, że w skład Imperium Brytyjskiego wchodzi i Kanada ze swymi 400.000 obywateli ukraińskiej narodowości i że właśnie Kanada zastępowała nasze narodowe interesy na forum światowym. W dodatku Anglicy są jedynym wielkim narodem, który interesuje się mniejszościami narodowymi i sprawą ukraińską chociażby w Polsce — o czym były już nie raz specjalne interpelacje w parlamencie angielskim. Obecny Kongres w Londynie da sposobność angielskim politykom do nawiązania osobistego kontaktu z naszymi parlamentarzystami i na tym polega jeszcze większe znaczenie tego Kongresu".

Dwa lata temu na identycznym kongresie mniejszości reprezentant U. N. D. O. dr L. Makaruszka, ówczesny poseł undowski do Sejmu oświadczył, że stosunki polsko-ukraińskie doznały zwrotu w kierunku ich normalizacji, i że U. N. D. O. zamierza nadal układać swą politykę z czynnikami wewnątrz państwa. Było to na początku t. zw. normalizacyjnego kursu polityki U. N. D. O. Że nie oznaczało rezygnacji z pomocy tej czy innej czynników zagranicznych, przekonał o tym nas dr St. Baran, jeden z przywódców U. N. D. O., poseł sejmowy i naczelny publicysta **„Diła"**.

Powstaje pytanie, jak się zachowają reprezentanci ukraińscy w Londynie. Gdyby nawet milczeli oficjalnie, to mają świeżo wydany atut w ręku dla rozmów i akcji okolicznościowej. (320)

PALCEM PO MAPIE

Trzeba dziś, uwidocznionym w tytule palcem bardzo długo szukać po mapie współczesnego świata jakiegoś konstruktywnego, pozytywnego objawu.

Tym razem objaw taki znaleźliśmy na Bliskim Wschodzie w postaci zawarcia ententy pomiędzy Turcją, Iranem, Irakiem i Afganistanem. Jest to, krótko mówiąc, blok sięgający od morza Śródziemnego do podnóża Himalajów.

W tym miejscu wypada zwrócić uwagę, że zdołały uzgodnić swe interesy i zawrzeć przyjaźń cztery państwa odmienne pod względem rasowym (mongolska Turcja, semicki Irak, praaryjski Iran i jafetydzki Afganistan), religijnym (sekularyzowana Turcja, szyicki Iran i sunnickie: Afganistan i Irak), rozdarte ponadto wiekowymi sporami o obszary pograniczne, zamieszkałe przez rozbójnicze szczepy, mające pomiędzy sobą kilkusetletnie „vendetty".

Inicjatorką i organizatorką tego porozumienia, na którego widok winnaby zgorzeć ze wstydu jednolita naogół pod względem rasy, religii i obyczajów Europa — jest nowoczesna Turcja, która wytrwale realizuje swój plan, już nie państwowy, lecz wielkomocarstwowy.

Odrodzenie potęgi tureckiej, dokonane po najstraszliwszej klęsce w historii tego kraju w ciągu niespełna 15 lat, bije wszelkie rekordy sowieckie, włoskie i niemieckie, jeśli wziąć pod uwagę liczebność tego narodu i ubóstwo jego zasobów materialnych.

Wszystko to Turcja zawdzięcza jedynie i wyłącznie mądrej i konsekwentnej polityce kemalistowskiego reżimu.

Należy dodać, że Kemal Ataturk i jego najbliżsi współpracownicy przez cały czas unikali, jak mogli drogi najmniejszego oporu. Zaczęli od sprawy na Wschodzie szczególnie drażliwej, a mianowicie od sekularyzacji i zwalczania wpływów muzułmańskiego duchowieństwa, następnie od europeizowania codziennego ubioru obywateli oraz od bolesnej reformy całej psychiki owego przedwojennego „chorego człowieka", pogrążonego w kwietyzmie, żyjącego w swoistych warunkach „skomercjalizowanego" państwa, uważanego za główne źródło prywatnych dochodów przez wielomilionową biurokrację.

I oto dzisiaj — Nowa Turcja nie ma na sobie najlżejszych śladów, jeśli chodzi o kilkusetletnie rządy wszechwładnego „bakszyszu" i ponurego fanatyzmu i zaczyna dawać Europie coraz bardziej zawstydzający przykład.

Kontrast ten staje się jeszcze ostrzejszy, gdy okrojoną po wojnie Turcję porównamy z kolosem chińskim, który, pomimo dużych wysiłków wciąż znajduje się w stanie nawpół — feudalnego rozkładu, zaś już pod „odrodzeniowymi" rządami „Kuomintangu" traci jedną prowincję za drugą na rzecz Sowietów (Turkiestan Wschodni), lub Japonii (Mandżuria, Mongolia Wewnętrzna, Chiny Północne).

Orędzie nankińskiego dyktatora marsz. Czang-Kai-Szeka, wydane z okazji nowego zatargu z Japonią, jest dokumentem o wręcz niebywałym tragizmie. „Słaby naród chiński" — oto stały refren tego orędzia, powtarzający się niemal co drugie zdanie. A tymczasem jest to naród, liczący z górą 400 milionów pracowitych i wytrwałych rolników, naród o wielkiej starożytnej kulturze, która zakwitła na kilka tysięcy lat przed naszą erą, posiadający ponadto bardzo liczne wojsko.

Faktem jest, że garnizony japońskie w Chinach północnych wynosiły w chwili wybuchu ostatniego zatargu... 6 tysięcy żołnierzy, wynoszą obecnie po dwutygodniowej koncentracji 25 tysięcy, podczas gdy sama tylko 29-ta armia chińska, rozlokowana w okolicach Pekinu liczy 60 tysięcy bagnetów i szabel. I mimo to marsz. Czang-Kai-Szek mówi: „my, słaby naród" i ma, niestety, rację.

Należy jeszcze dodać, że bogactwa naturalne Chin są wręcz olbrzymie i że surowce chińskie oddawna stanowiły magnes, zwracający na Chiny chciwe oczy Europejczyków, Amerykan i Japończyków.

A stan faktyczny? Nawet na terytoriach niezaanektowanych formalnie przez obce potęgi — rządzą zagraniczni koncesjonariusze i skorumpowani prowincjonalni generałowie. W łonie rządzącej partii „Kuomintang" politycy nankińscy rywalizują z kantońską „lewicą radykalno-nacjonalistyczną".

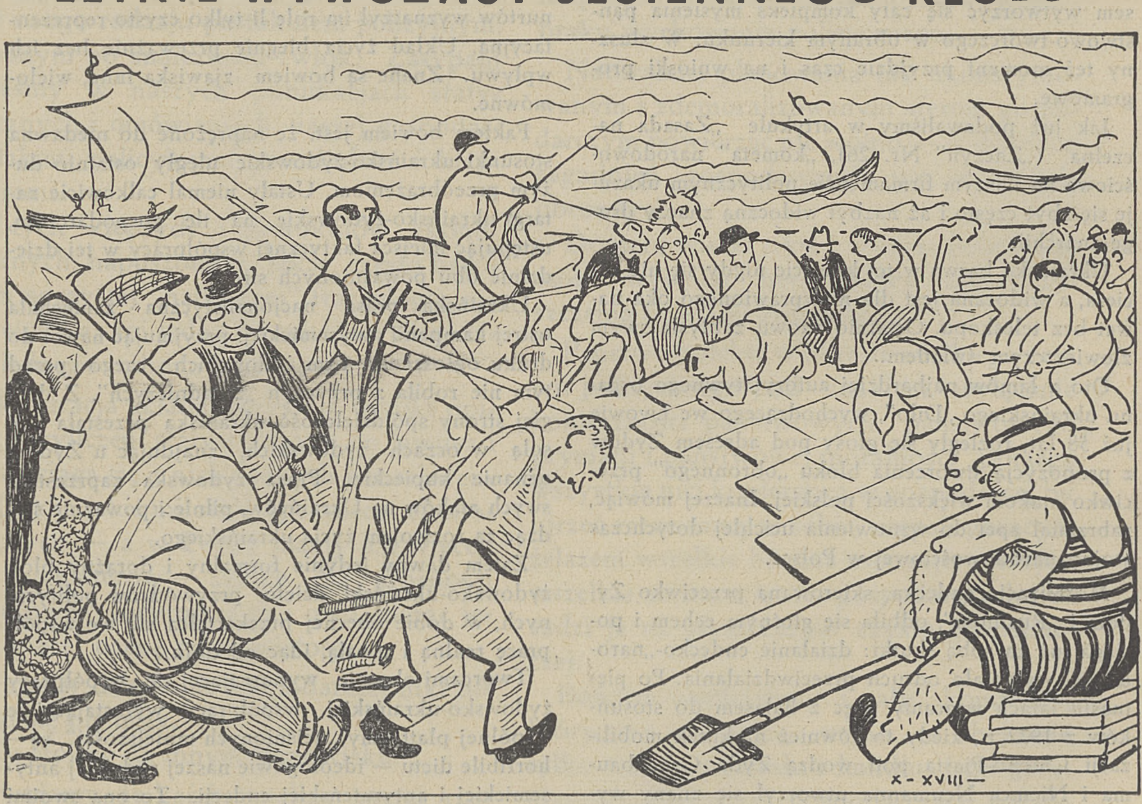
Lokalni dygnitarze urządzają... antyjapońskie bunty, nieraz za japońskie pieniądze i sprawują naogół rządy w sposób bardziej okrutny i grabieżczy od obcych najeźdźców.

Jeśli policzyć wszystkie wojska lokalnych gubernatorów, to Chiny mają dziś pod bronią około miliona ludzi, z czego wszakże niespełna 200 tysięcy zasługuje na szczytne miano żołnierza — a reszta to uzbrojone bandy, grabiące ludność, lub, co jeszcze gorsze — żebrzące.

Porównanie Turcji i Chin — oto wspaniały przykład zwycięstwa jakości nad ilością, prężności nad bezwładem zabiegliwego i rozumnie gospodarowanego ubóstwa nad marnotrawionym bogactwem, a przede wszystkim: planu nad bezhołowiem.

Tym razem w naszej tygodniowej rewii wydarzeń poprzestaniemy na Azji. Europa staje się coraz mniej ciekawym tematem, jeśli chodzi o jakiekolwiek konstruktywne posunięcia. Na dobrą sprawę... przypomina nieco Chiny, podzielone na kilkadziesiąt państw narodowych. (66).

LETNIE WYWCZASY JESIENNEGO KLUBU



Roboty publiczne nad Naroczą

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa 1, Al. Ujazdowskie 20 m. 7, tel. 7.11.97. Konto czekowe P. K. O. Nr. 25.544**

Numer pojedyńczy 30 gr. — prenumerata miesięczna 1 zł. — trzymiesięczna w kraju 2 zł. 50 gr. — zagranicą 4 zł. 50 gr.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Leon Borkowski**

Godziny przyjęć redakcji: 5—6 we wtorki, czwartki i soboty. Administracja czynna codziennie 10—12 i 5—7.

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10